

Drugie kłamstwo katyńskie

Wokół mordu katyńskiego nadal toczy się dziwna gra. W rosyjskich mediach powracają dawne kłamstwa, najczęściej złagodzone, a w procedurze odchodzenia od prawdy, zmiękczenia jej i zadeptywania uczestniczą polskie władze, polscy historycy, a nawet rodziny katyńskie. O co tu chodzi? O przypodobanie się obecnym władcom Rosji? A jeśli tak, na ile jest to taktyka wymuszona przez doraźną politykę, na ile - strategia wpływający z kalkulacji lub musu?

„Nowa polityka wschodnia” jest jednym ze sztandarowych projektów rządu Donalda Tuska. Ożywianie kontaktów gospodarczych wschodnim sąsiadem należy do działań racjonalnych, również spotkania przywódców cieszą, gdy służą ociepleniu kontaktów czy pogłębieniu wzajemnego zrozumienia. Inaczej - jak niesławna obecność Aleksandra Kwaśniewskiego (w tylnych rządach) podczas obchodów zakończenia II wojny światowej w Moskwie - działania takie przypominają jedynie hold lennika. Dlatego tak zaniepokoił Polaków komunikat wydany po rozmowie telefonicznej premierów obu państw w lutym tego roku.

„Podczas rozmowy Władimir Putin zaprosił Donalda Tuska do udziału w uroczystościach rocznicowych w Katyniu, gdzie pod koniec lat 30. w wyniku represji politycznych zginęło wielu obywateli radzieckich, w latach 40. rozstrzelano polskich oficerów, a później z rąk nazistowskich okupantów zginęło wielu żołnierzy Armii Czerwonej. Szef polskiego rządu przyjął zaproszenie z zadowoleniem”.

Przy okazji doszło do kolejnego afrontu wobec prezydenta RP, który nie zaproszony przez władze Rosji, wybiera się na te obchody sam. Dzięki Bogu w innym terminie, nie ma zatem niebezpieczeństwa, że ktoś nie wpuści go do samolotu albo zabierze krzesło.

Zbrodnia była zbrodnią

Wydawać by się mogło, że wszystko jest jasne. Jelcyń przekazał Wałęsie dokumenty z parafami sowieckich zbrodniarzy z Politbiura, z autografem arcyłotra na czele. Znany jest skład „OSO” osławionej „trojki”, która hurtowo „osądzała” polskich oficerów - Mierkułow, Kabułow, Basztakow. Wiadomo, kto nadzorował egzekucje, znane są nazwiska katów. W Katyniu mordowała ekipa Iwana Stelmacha, w składzie m.in. Gwozdowski, Gribow, Mokrażyckij, Estrin. Ten ostatni podobno do niedawna jeszcze żył w Moskwie.

Istnieją świadectwa nielicznych ocalałych, zapiski znalezione przy ofiarach, zeznania okolicznych mieszkańców i funkcjonariuszy sowieckich służb, jest raport komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. O kłamstwie katyńskim mógłby powstać film o dramaturgii bardziej urozmaiconej niż obraz Wajdy. Powinna się w nim znaleźć historia zacierania śladów przez Sowietów, polowanie na świadków - w tym tajemnicza śmierć 30 marca 1946 r. w Krakowie prokuratora Romana Martiniego, a 30 października 1947 r. w Londynie Iwana Kriwoziercowa - wieśniaka z katyńskich Kozich Gór. Nie mogłoby zabraknąć nacisków na aliantów, wystarczająco silnych, by rząd Jego Królewskiej Mości i władze Stanów Zjednoczonych musiały milczeć.

Wprawdzie mimo wysiłków i nieudolnych inscenizacji - wkrótce po odbiciu Smoleńszczyzny Sowieci powołali własną komisję - nie udało się w tę zbrodnię wrobić Niemców, a próba dopisania Katynia do listy zbrodni hitlerowskich w trakcie Trybunału Norymberskiego zakończyła się porażką, zakłamywanie trwało latami. Był czas, kiedy zbrodnię w Katyniu miały przykryć ekscesy nazistów w osadzie Chatyń. W schyłkowym PRL prawda ujawniana była na raty, a w Rosji po okresie głośności i smuty Jelcyna, kiedy najtajniejsze nawet dokumenty znalazły się przez krótki czas na wolnym rynku, rozpoczęła się regres i ucieczka od prawdy.

Dzisiaj w dwugłowym Imperium nadal znakomicie prosperuje kłamstwo katyńskie. W wielu

wariantach – twardszym, na rynek wewnętrzny, opanowany przez demony wielkomocarstwowego nacjonalizmu, i na zewnątrz, w wersji możliwszej do przełknięcia. Według komunistycznych deputowanych do Dumy rosyjskiej polskich oficerów rozstrzelali hitlerowcy po zajęciu Smoleńska w 1941 r., a nie NKWD - w 1940 r. Deputowani z KPRF przekonują, że społeczna komisja historyków, która działała pod ich egidą, zebrała dowody świadczące o winie Niemców. Z kolei wnuk Józefa Stalina Jewgienij Dzugaszwili wytoczył proces rosyjskiej gazecie, która opisała zbrodnię na polskich oficerach. Twierdząc, że artykuł ten zniesławia jego dziadka. Dlatego żąda gigantycznego odszkodowania...

Inną linią obrony jest pomniejszanie zbrodni i częściowe jej usprawiedliwianie. Ciągłe wraca po wielokroć obalona teza o mordach na bolszewickich jeńcach 1920 r. (W istocie internowani żołnierze ginęli na skutek chorób.) Relatywizowana jest wielkość zbrodni w porównaniu z gigantycznym wkładem Sowieców i daniną krwi w II wojnie światowej (do której wybuchu skądinąd walczyli się przyczynili), zaś rosyjscy nacjonałiści nawet przyznając fakt zbrodni, twierdzą, że jest to drobiazg w porównaniu ze zbrodniami Stalina wobec narodów ZSRR.

Wobec Polaków aktualni przywódcy Rosji wybierają inną strategię – uznają rzecz za wyjaśnioną i zamkniętą, nie wartą rozdrapywania „w imię dobrosąsiedzkich stosunków”. A przede wszystkim sprzeciwiają się uznaniu zbrodni na polskich oficerach za ludobójstwo, godząc się na definiowanie jej jako „zbrodni wojenna”.

O co chodzi Rosjanom? Łatwo pojąć. O propagandowy wizerunek zwycięzcy w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej – rozpoczętej wedle ich podręczników nie 1 czy 17 września 1939 r., lecz 22 czerwca 1941 r. Sukces wojenny to najważniejszy składnik narodowej dumy i imperialnej tożsamości. Podważenie go groziłoby gigantyczną psychiczną dezintegracją. Jest też element bardziej przyziemny – uznanie „Katynia” za ludobójstwo mogłoby otworzyć pole do rozszereżeń, odszkodowań... Ludobójstwa nie sposób określać jako pomyłki, do której w chwili szczerości przyznał się Ławrientij Beria. Nie bez powodu więc prokuratura rosyjska zamknęła śledztwo w tej sprawie. Zbrodnia wojenna ulega przedawnieniu, ludobójstwo w myśl prawa międzynarodowego, stworzonego zresztą wedle projektu sowieckiego – nie!

O co chodzi polskim „przyjaciółom Rosji”?

O wiele trudniej jest zrozumieć, dlaczego prominentny poseł rządzącej partii prof. Stefan Niesiołowski, interesujący się najnowszą historią, stwierdza autorytatywnie: „To była zbrodnia wojenna. Ludobójstwo to jest zagłada narodu. W historii do tej pory były dwa ludobójstwa: Holokaust i wielki głód na Ukrainie. Katyń to było coś innego”. Czy tylko dlatego, że PiS ma w tej sprawie inne zdanie?

Zresztą definicja ludobójstwa autorstwa prawnika Rafała Lemkina przyjęta przez społeczność międzynarodową głosi „Ludobójstwo nie oznacza bynajmniej bezpośredniego zniszczenia całego narodu. Oznacza raczej plan rozmaitych działań, skierowanych na zniszczenie istotnych podstaw życia grup narodowych”.

A czymże było planowe wyniszczenie elity kulturalnej narodu (wśród zamordowanych podoficerów przeważali rezerwiści rozmaitych specjalizacji), jak nie metodycznym przygotowaniem do podporządkowania narodu? Jeszcze bardziej zdumiewające stanowisko zajmuje Andrzej Skąpski, prezes Federacji Rodzin Katyńskich: „Ludobójstwem był Holokaust czy rzeź w Rwandzie, natomiast Katyń to zbrodnia wojenna!” Ciekawa teza!

Nie kwestionując ludobójczego charakteru Holokaustu, pragnę zauważyć, że rzeź w Rwandzie była normalną wojną domową, opartą na waśniach etnicznych, jakich w XX w. nie brakowało. (Choćby rzezie wołyńskie!) Aż trudno uwierzyć, że człowiek, który powinien być z urzędu rzecznikiem rodzin ofiar, angażuje się w umniejszanie win morderców: „Po raz kolejny śmierć naszych ojców jest wykorzystywana do takiej już najbrudniejszej polityki, jaką sobie można wyobrazić” - stwierdza

w przypląwie swoistej schizofrenii, we wcześniejszych wypowiedziach nader chętnie szafował terminem „ludobójstwo”. „Czepianie się słowa i robienie z tego afery politycznej jest dla mnie obrzydliwe i oburzające” - oświadczył.

Czy zmiana jego stanowiska jest wynikiem czyjejś perswazji, czy też nieznanego opinii publicznej kontraktu? Zresztą Skąpski swoją rolę szefa rodzin katyńskich (notabene nie uznawanego przez znaczną część środowiska) rozumie dość szczególnie. Na przykład ze wszystkich sił sprzeciwia się pomysłowi rzuconemu przez krakowskiego architekta Stanisława Drabczyńskiego. Na 30 hektarach w gminie Chęciny miałyby powstać gigantyczna nekropolia składająca się z 21 tys. 857 figur naturalnej wielkości symbolizujących ofiary stalinowskiej zbrodni. Monument porównywalny skalą z chińską terakotową armią tworzony byłby ze środków prywatnych darczyńców, jednak Skąpski z uporem twierdzi, że Federacji na to nie stać. „Ja osobiście nie chcę, by metalowa figura podpisana nazwiskiem mojego ojca stała w takim miejscu” - mówi.

Wiele podobnych głosów wpisuje się w taktykę nie obcą obecnemu rządowi, którą da się streścić w słowach: nie drażnić Rosji. Stanowisko jak każde mogłoby być tematem do dyskusji gdyby nie zadziwiająca proweniencja głosicieli podobnych haseł. Już pół roku temu na łamach „Gazety Polskiej” ukazał się artykuł o kilku prominentnych postaciach zabierających głos w tym sporze, połączonych jednym wspólnym mianownikiem.

Adwokaci diabła

Kim są adwokaci diabła? Jednym z nich jest Jan Barcz, były ambasador Polski w Austrii (1995–1999), szef gabinetu politycznego szefa MSZ Władysława Bartoszewskiego (2000–2001), pracownik Państwowego Instytutu Spraw Międzynarodowych, który w wypowiedzi dla „Gazety Wyborczej” stwierdził: „Gdyby spojrzeć skrupulatnie na definicję zbrodni ludobójstwa, to zapewne Stefan Niesiołowski ma rację, że Katyń nie był ludobójstwem”. Barcz przed laty został zarejestrowany przez wywiad PRL jako kontakt operacyjny „Jaksa”. Odręcznie napisał i podpisał zobowiązanie: „Deklaruję swoją pomoc Polskiej Tajnej Służbie Wywiadowczej i zobowiązuję się do zachowania tego faktu w tajemnicy, również w stosunku do najbliższej rodziny”.

Drugi to Adam Daniel Rotfeld – minister spraw zagranicznych od stycznia do października 2005 r., przewodniczący polsko-rosyjskiej grupy ds. trudnych niezwykle, który entuzjastycznie skomentował pamiętny list Władimira Putina opublikowany w „Gazecie Wyborczej” i jednocześnie stwierdził, że nie warto zajmować się informacjami rosyjskich mediów na temat Polski w kontekście II wojny światowej. „Czas najwyższy, żeby ten niezwykle skomplikowany temat wreszcie zakończyć i zająć się innymi problemami”. Rotfeld figuruje w dokumentach SB jako kontakt operacyjny pod czterema pseudonimami: „Rauf”, „Rad”, „Ralf” i „Serb”. Sam Andrzej Skąpski został zarejestrowany przez SB jako TW „Igor”. W czasach PRL był dyrektorem paksowskiego zakładu „Inco”, a także przewodniczącym PRON w Białym Dunaju. Zbieg okoliczności?

Dzień refleksji czy półprawdy?

Mija właśnie 70 lat od chwili, gdy z Kozielska ruszyły wagony z zamalowanymi oknami, tzw. stołypinki, doczepiane po dwa, trzy do normalnych składów sowieckich pociągów, a następnie ze stacyjki w Gniezdowie autobusy z szybami zaszmarowanymi wapnem dowoziły ofiary na skraj dołów śmierci. W myśl wcześniejszych planów część oficerów (449 osób) mogących jeszcze się przydać sowieckiemu państwu przeniesiono do obozu w Pawliszczew-Borze, resztę (14 852) skazano na śmierć. Więźniów z Kozielska mordowano w Katyniu, los tych ze Starobielska dokonywał się w kazamatkach charkowskiego więzienia (ciała grzebano w Piatichatkach). Z Ostaszkowa ofiary przewożono do więzienia w Twerze, a następnie transportowano na teren ośrodka rekreacyjnego NKWD w Miednoje, gdzie wrzucono je do ogromnych dołów, które zasypywały koparki... 70 lat później premier rządu RP pojawił się na tym miejscu uświęconym krwią najlepszych synów

Ojczyzny, w towarzystwie wnuka kucharza Stalina. Co tam powiedzą? Napiętnują ostatecznie wielką zbrodnię, kładąc kamień węgielny pod rosyjskie-polskie pojednanie czy też oddadzą hołd „wszystkim ofiarom systemów totalitarnych”, roztopiając polskie ofiary w morzu rosyjskich cierpień i ogólnych kosztów wojny światowej przy podkreśleniu polsko-rosyjskiego „braterstwo broni”, doświadczeń wspólnej „walki z faszyzmem”, które można wykorzystać przy budowie „europejskiego domu”? Z doświadczeń wyniesionych nie tylko z filmowych horrorów wiem, że w takim domu, budowanym na cmentarzu, na którym zmarli nie doczekali się zadośćuczynienia, będzie straszyc!

70 lat po Katyniu premier rządu RP pojawi się na tym miejscu uświęconym krwią najlepszych synów Ojczyzny w towarzystwie wnuka kucharza Stalina. Co tam powiedzą? Napiętnują ostatecznie wielką zbrodnię, kładąc kamień węgielny pod rosyjskie-polskie pojednanie czy też oddadzą hołd „wszystkim ofiarom systemów totalitarnych”, roztopiając polskie ofiary w morzu rosyjskich cierpień i ogólnych kosztów wojny światowej przy podkreśleniu polsko-rosyjskiego „braterstwo broni”, doświadczeń wspólnej „walki z faszyzmem”, które można wykorzystać przy budowie „europejskiego domu”?

Marcin Wolski